



# NA KOŁANACH

JAKUB PRZYMEŃKI



---

JAKUB PRZYMĘCKI

# NA KOLANACH

Wydawnictwo Psychoskok

Konin 2014

*Powieść tę dedykuję swoim rodzicom.*

*Dziękuję za wsparcie i wiarę bez których niniejsza książka nie miałaby szansy powstać.*

*Specjalne podziękowania kieruję w stronę mgr Magdaleny Machały, za bezlitosną, wielogodzinną korektę.*

Jakub Przymęcki

„Na kolanach”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o. o. 2014

Copyright © by Jakub Przymęcki 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Paulina Orzechowska, Wydawnictwo Psychoskok

Korekta: Paulina Józwiak, Magdalena Machała

ISBN: 978-83-7900-242-9

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom.665-955-131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## PROLOG

**N**ie oglądał świata od przynajmniej kilku godzin i prawdopodobnie to, że nie mógł na siebie popatrzeć i zobaczyć w jakim znajduje się stanie, uchroniło go przed całkowitym szaleństwem.

Siedział z zawiązanymi oczami na tylnym siedzeniu jakiegoś starego rzęcha, którego nieświeżym odorem nasiąknął już po cebulki włosów i modlił się. Z oczywistych powodów nie mógł uklęknąć, ale zrobiłby to, padłby na kolana twarzą do ziemi, gdyby tylko był do tego zdolny. I chociaż wiedział, że już wszystko skończone, że już nic go nie uratuje, modlił się dalej, bo przecież nic innego mu nie pozostało.

Na przyklejonej do jego śniadej piersi ciemnozielonej, rozpiętej pod szyją koszuli, brązowały już plamy krwi, a on sam, w całkowitym milczeniu podskakiwał na wybojach stukając od czasu do czasu głową w sufit samochodu. Ręce, skrępowane za plecami chudym, ostrym sznurem, który wrzynał się w ciało – zdawać by się mogło, aż po kości – płonęły żywym ogniem, podobnie jak jego bose stopy, obwiązane w kostkach tyle razy, że już dawno stracił czucie w palcach. Miał wrażenie, że krew przestała do nich dopływać całe wieki temu.

Dzień, w którym to nastąpiło; początkowo typowy, zupełnie nie różniący się od innych poniedziałek, był upalny i tak samo jak pozostałe – cholernie duszny. Teraz jednak miał wrażenie, że znajduje się w prawdziwej saunie. Oddechy osób siedzących z przodu samochodu, najpewniej dwóch, choć pomiędzy nimi nie odbywała się żadna konwersacja, zupełnie jakby kierowca jechał sam, były ciężkie i chrapliwe. Silnie wydmuchiwane z ich nozdrzy powietrze dawało się usłyszeć nawet na miejscu przeznaczonym dla tylnego pasażera, a spocone, niewątpliwie odwodnione ciała wydzielały nieprzyjemny odór. Mieszankę gorzkiego potu i zbutwiałej tapicerki przerywał jedynie zapach dymu papierosowego, który pojawiał się i znikał w cyklicznych odstępach czasu, zostawiając delikatny osad na jego nozdrzach. Choć on sam nigdy nie palił, wdychanie dymu tytoniowego było z tego wszystkiego zdecydowanie najprzyjemniejsze.

W samochodzie, wyraźnie zaniedbanym i od dawna niewietrzoną, nie grało żadne radio, natomiast wszystkie okna były – jak podejrzewał – pozamykane. W chwilach, gdy kierowca bądź jego towarzysz nie palił, osobie siedzącej z tyłu zdawało się, że umieszczono ją w odizolowanej od świata puszczy, ruchomej brudnej celi na kółkach, która stacza się ze

wzgórza, a on, sparaliżowany bólem, może tylko siedzieć i czekać na najbliższą przepaść. Wyobrażenia podsuwała jego korze mózgowej coraz to gorsze obrazy: samochód bez kierowcy, zsuwający się po ostrej nieskończonej długiej skarpie prosto w objęcia szybkiej, lecz bolesnej śmierci. Nie mógł nawet wrzeszczeć, prosić, czy płakać. Granica bólu już dawno została przekroczona, przez co (lub może dzięki czemu) jego zmysły uległy otępieniu. Trwało to po prostu zbyt długo, by jeszcze umiał się przejmować.

W momencie gdy to się zaczęło, gdy stracił przytomność wychodząc z własnej kamienicy niedaleko parku i biblioteki, właśnie wschodziło słońce, a teraz, mógłby przysiąc, że – choć niczego nie widział od kilku godzin – było już późno po południu i w normalnych okolicznościach dawno leżałby na kanapie z kubkiem parującej kawy w dłoni. Myślał o tym, ale tylko przez chwilę, bo uderzenie czubkiem głowy w poobdzieraną podsufitkę było tym razem silniejsze niż poprzednio. Zaraz po nim pojawiły się kolejne. Jego ciało podskakiwało arytmicznie na siedzeniu jak dziecko na placu zabaw ujeżdżające mechaniczną świnkę rodeo. W tej jednak sytuacji znaczyło to, że zmienia się nawierzchnia po której jadą i najprawdopodobniej kończy się asfalt. Co prawda, domyślał się dlaczego, jednak odrętwienie w jakim się znajdował nie pozwalało mu na wysnuwanie zbyt daleko idących wniosków. Każda myśl przychodziła do jego obolałej fizycznie i udręczonej psychicznie głowy z ogromnym trudem i opóźnieniem, zupełnie jakby klepała go za plecami w ramię, po czym szybko uciekała w przeciwnym kierunku, zanim zdążył się odwrócić.

Milczenie panujące w samochodzie, po raz pierwszy od momentu zatrzaśnięcia drzwi i odpalenia silnika, zostało przerwane, wyraźnym, lecz zmęczonym głosem:

– W schowku ma pan wszystko co niezbędne, proszę się przygotować, bo za dziesięć, może siedem minut będziemy na miejscu.

Choć przez ułamek sekundy myślał, że zdanie było skierowane do niego i jego otumaniony umysł już zastanawiał się, co mógłby (gdyby nawet był w stanie) odpowiedzieć w tej kuriozalnej sytuacji, z siedzenia przedniego pasażera usłyszał błyskawiczną, wystrzeloną niczym z karabinu snajperskiego odpowiedź:

– Oczywiście.

Głos był czysty i wyraźny, dykcja niemal bezbłędna, zupełnie jakby osobą, która siedziała przed nim był prezenter telewizyjny lub lektor, choć sposób w jaki wymówił słowo przypominał bardziej starego wojskowego generała. Był tak kontrastująco odmienny od tego

## Na Kolanach - Jakub Przymęcki

---

pierwszego, leniwego, niedbałego, że w innej sytuacji mógłby ten dysonans uznać za zabawny.

Ale niedługo później, w chwili, gdy samochód zakończył swoją czkawkową wycieczkę przez wertepy i jego wyraźnie zmęczony silnik został wyłączony, nie było nic śmiesznego. Ta sekunda, czy dwie absolutnej ciszy tuż po przekręceniu kluczyka w stacyjce była pod pewnymi względami straszniejsza, niż cała dotychczasowa podróż. W samochodzie panowała upiorna temperatura, jednak mimo tego czuł swoim półprzytomnym umysłem, że koniuszki niedokrwionych palców ma zimne i mokre jednocześnie, zupełnie jakby chwilę temu lepił kulki ze śniegu. Przez czarną, zdecydowanie zbyt mocno zawiązaną opaskę na oczach przedostawały się ospałe, coraz ciemniejsze plamy zachodzącego już pomału słońca, a z drugiej, zawiązanej tuż pod potylicą, której przednia część wsadzona była w usta, nieustannie skapywała wątła struzka śliny. Pewnie już nawet o tym nie wiedział.

Usłyszał silne zaciągnięcie ręcznego i otwarcie przednich drzwi od strony kierowcy, a chwilę później, niespieszny trucht dookoła samochodu i szczęk zawiasów po lewej stronie. Kolejna odezwała się sucho brzdękająca pokrywka otwieranej zapalniczki i wreszcie pociągnięcie za klamkę drzwi, obok których siedział. Wtedy właśnie upewnił się, że przez całą podróż wszystkie okna w wozie były szczelnie pozamykane, bo sekundę później usłyszał kaskadę dźwięków: śpiew ptaków, powolny niemal niedostrzegalny szum samochodów, jadących zapewne bardzo daleko od miejsca w którym był i szelest liści pod stopami obu osób znajdujących się na zewnątrz. Był w lesie.

– Niech się pan odsunie, może się rzucać.

Znów przez ułamek sekundy pomyślał, że to do niego, ale ten sam szybki, strzelisty wokal drugiego towarzysza podróży natychmiast odbił piłeczkę:

– Bez obaw!

Poczuł na ramieniu czyjaś silną, spracowaną rękę. Palce, które zacisnęły się mocno na jego szyi były lodowato zimne i lepkie zarazem, jak gdyby należały do samej kostuchy. Były przy tym grube i szorstkie. W chwilę potem poczuł uścisk kolejnej dłoni, która najpierw złapała go za lewe ramię, lecz najprawdopodobniej uznając, że tak jest niewygodnie puściła je i chwyciła go za kołnierz koszuli.

Gdy jeden z mężczyzn zaczął wyciągać go z samochodu, poczuł pod bolesnym



pieczeniem skrępowanych od dawna nadgarstków i kostek, także zapach taniej wody po goleniu i przegryzający się przez nią smród potu. Nic dziwnego, spędzić kilka godzin w niewietrzonym samochodzie na początku lipca, to niemal masochizm.

Przepełniona, a przy tym przerażająco zimna dłoń poluzowała nieco uścisk na jego szyi i dała mu chwilę na złapanie charczącego oddechu. Haust powietrza świstem wdarł się w jego płuca wznecając kaszel i duszności.

Wtedy dopiero poczuł, że, pomimo suchości w gardle, jego spękane usta ociekają śliną. Musiał przez całą drogę oddychać wyłącznie nimi. To dość logiczne, zważywszy na fakt, przecież cały nos miał zalepiony własną, zakrzepniętą krwią, której metaliczny, cierpki posmak odczuwał z każdym coraz trudniejszym oddechem.

Silna ręka chwyciła go za potylicę, tak samo jak ręka rugbisty obejmuje piłkę i zmusiła go do pochylenia głowy.

W następnej chwili upadł na ziemię.

### I

**P**odstarzały, zakupiony jeszcze w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych wentylator podłogowy trzepotał silnie swymi pożółkniętymi łopatomami w rogu pokoju. Nieopodal, przy prawej ścianie od wejścia, stało potężne, pomalowane na czarno biurko z grubego mahoni, a na nim umieszczony w rogu siedemnastocalowy monitor CRT, którego światło zupełnie niknęło w blasku wciąż żarzytych promieni rzucanych przez popołudniowe słońce. Wpadały one jasnymi paskami przez na wpół zasłonięte w oknach żaluzje, tworząc na przeciwległej ścianie rząd prążkowanych, ciemnopomarańczowych cieni.

Mężczyzna siedzący przed komputerem był postawny, ubrany w szaroniebieską koszulę wypuszczoną na sztruksowe spodnie, by ukrywać zaczątki piwnego brzucha. Jego zaczesane do tyłu rudawe włosy utkane pojedynczymi srebrzystymi nitkami, w połączeniu z niedogolonym zarostem zdradzały wiek – pod czterdziestkę. Brwi natomiast, zupełnie w opozycji do rzadniejących włosów, były kruczo czarne i grube, jakby machnięte pędzlem. Pomiędzy nimi zaś wyrastało wąskie pasmo włosów, co było przyczynkiem do żartów z jego „jednej” brwi, których nie oszczędzali mu niektórzy koledzy z pracy. Staromodny zegarek, podróbka rolexa, leżał bezwiednie obok, by nie ścisnąć niepotrzebnie ręki, w której pomału dogasał już papieros. Gdy małe radyjko stojące na samym brzegu biurka, nastawione od wieków na stację ze złotymi przebojami, grało właśnie *Time To Cry* Paula Anki, rozległo się pukanie w oszklone drzwi.

– Zajęty? – zapytał głos wysokiego, szczupłego mężczyzny przed pięćdziesiątką, zaczesanego na tzw. „pożyczkę”. Nie czekając na odpowiedź wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Nie bardziej niż zwykle – odpowiedział co najmniej o dekadę młodszy rozmówca, nawet na chwilę nie oderwawszy wzroku od monitora. – Siadaj, praktycznie skończyłem robotę.

– Mam dla ciebie dwie sprawy, jedna do dupy, druga jeszcze gorsza... – przerwał, gdy spostrzegł, że towarzysz wstaje z krzesła i idzie w kierunku kredensu znajdującego się w prawym rogu pomieszczenia.

– Kawy? Chłodna jest całkiem dobra – wziął z blatu przezroczysty dzbanek z osadzoną na dnie resztką napoju i rozlał ją do dwóch niewielkich plastikowych kubków jednorazowych, których ułożona jeden na drugim sarta stała tuż obok.

– Tylko bez cukru, Larry, wiesz, że ograniczam.

– Gliniarz cukrzyk – zaśmiał się pod nosem rudowłosa mężczyzna w sztruksowych spodniach, odstawiając całkowicie już puste naczynie po kawie na swoje miejsce. – Jak ty wytrzymujesz bez pączków?

Postawił oba kubki na biurku, przysunął jeden z niesłodzoną kawą bliżej w kierunku swojego rozmówcy, a ten nie odpowiadając, jedynie uśmiechnął się w specyficzny sposób.

– No dobra, co jest, Ron? – skinął głową w kierunku kolegi. Jego mina natychmiast spoważniała.

– Pamiętasz sztywniaka sprzed dwóch tygodni? Tego znalezionego w kanale ze śrutem w czaszce?

– No, pamiętam, imigrant. Zdaje się Egipcjanin. Amir jakiś tam, i co? – Larry nie patrzył już w monitor. Obserwował teraz towarzysza rozmowy nie rozstając się z kubkiem zimnej kawy. Przez moment zastanowił się która to dzisiaj, czwarta? Szósta? Zresztą, jakie to mogło mieć znaczenie?

– Właśnie ten. Wyobraź sobie, że dzisiaj we wczesnych godzinach porannych znaleźli kolejnego. Powinien już być na wizycie u patologa – Larry podniósł brwi z zaciekawieniem czekając na ciąg dalszy. – Facet nie wygląda najlepiej. Leżał w lesie, kawał drogi na południe od miasta, przez co najmniej trzy tygodnie. W tym lipcowym skwarze ciężko określić na oko, ale mniej więcej tyle. Rozkład ciała dawno już się rozpoczął, ale to nie dlatego trudno go będzie zidentyfikować. Ten też został zastrzelony z przyłożenia. Ponadto nikt nie zgłaszał zaginięcia, ani porwania. Nie znaleziono też przy nim żadnych dokumentów, telefonu ani kart kredytowych. Na wyniki sekcji musimy trochę poczekać, ale przyczyna zgonu jest oczywista – ładunek śrutu wystrzelony z najbliższej możliwej odległości w twarz. Człowiek prawie nie ma głowy. Znalazł go jakiś podstarzały grzybiarz z żoną, dasz wiarę? Parka jest w lekkim szoku.

– Ale jaki to ma związek z tym poprzednim?

– Zdecydowanie zbyt duży, żeby nazwać to przypadkiem. To chwilowo spekulacje, bo jeszcze nie było autopsji, ale rana postrzałowa jest niemal identyczna jak ta poprzednia: strzał został oddany z broni śrutowej, chociaż nie wiemy jeszcze czy tej samej co ostatnio. Ponadto obie ofiary miały bardzo wyraźne otarcia na nadgarstkach i kostkach. Jednak w pobliżu zwłok nie znaleziono niczego, czym kończyny mogłyby być skrępowane. Nazwijmy to po imieniu – to była egzekucja, a podczas jej wykonywania ofiara najprawdopodobniej została rozkuta.

– Nie wygląda to najlepiej, Ronnie – rzekł z pełną nonszalancją i bez drgnięcia głosu młodszy z rozmówców.

– To jeszcze nic. Pomimo rozpoczętego rozkładu ciała i praktycznego braku twarzy, wiemy na dziewięćdziesiąt procent, że ofiara to Arab. Albo Hindus.

– Rozumiem, ale co mam z tym wspólnego? – Larry tak naprawdę wiedział, co, jednak miał nadzieję, że nie usłyszy iż...

– Przejmujesz tę sprawę. Stary kazał cię o tym powiadomić i dać ci wstępne papiery. Jak już patolog przeprowadzi sekcję, to o wszystkim będzie bezpośrednio informował ciebie.

– Czemu nie zajmie się tym ten koleś od trupa w kanale?

Tym razem głos Larry'ego drgnął aż zanadto.

– Jego śledztwo przed dwóch tygodni utknęło w martwym punkcie. Podobno ma jakieś problemy zdrowotne, więc poprosił o nowy przydział. Prowadzi teraz inne, mniejsze sprawy. Poza tym nie sądziliśmy, że znowu ktoś tak zginie. Wiesz, że to gorący okres, wszyscy mamy po uszy roboty.

Larry dopił zimną kawę, niedbałym ruchem strzepnął kubek z biurka prosto do stojącego pod nim kosza i wyciągnął starą papierośnicę. Wyjął jedną z czterech pozostałych w niej fajek i odpalił ją swoją benzynówką.

– Jesteś taki stereotypowy – rzekł Ron i chcąc rozładować atmosferę uśmiechnął się ponownie w ten swój charakterystyczny, krzywy sposób.

Larry w odpowiedzi zaciągnął się mocno papierosem.

– Gruboskórny gliniarz z dwudniowym zarostem i taną imitacją zippo – Ron oparł się na łokciu i w dalszym ciągu czekał na ripostę.

– Jadę na miejsce zdarzenia – powiedział w końcu nie komentując docinków kolegi. – Chcę się rozejrzeć. Gdzie to było dokładnie?

– Masz napisane w papierach... – na czarnym, grubym blacie wylądowała z miękkim plaśnięciem szczupła teczka wypełniona kilkoma luźnymi kartkami. – Ale to jeszcze nie wszystko co chciałem ci powiedzieć.

Larry spojrział na niego w sposób typowy dla siebie: przyjacielski ale i zarazem szorstki, jakby to właśnie jego chciał, lecz nie mógł, obwiniać za przydzielenie mu tej sprawy. W końcu Ron Simpson był jedynie jego kumplem z roboty, który napatoczył się na kapitana,

a ten poprosił o przekazanie nowiny. Dawniej, jako goniec przynoszący złe nowiny, na pewno poszedłby pod gilotynę.

– Więc co jeszcze? – zapytał zniecierpliwiony.

– Za drzwiami czeka twój nowy partner, młody chłopak, ponoć bardzo zdolny.

Zmieniające się z sekundy na sekundę oblicze Larry'ego zdradzała wszystko. Spojrzał na stojące po drugiej stronie pokoju puste biurko, zupełnie jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że nikt za nim nie usiadł od niemal roku.

– Słucham? – zapytał cichym i szorstkim barytonem. – Nie potrzebuje nowego partnera, wolę pracować sam!

– Larry, nie do mnie te pretensje. Jestem tylko posłańcem. Facet czeka za drzwiami, jego stary jest kimś ważnym, więc szef kazał się nim dobrze zająć.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zaciągnął się papierosem aż po pępek i unosząc głowę wypuścił dym prosto na sufit, po czym westchnął ciężko.

– Poczekaj tu, wpuszczę go.

Gdy Ron po chwili wrócił do pokoju, stał za nim młody, najpewniej świeżo po akademii, wysportowany mężczyzna z wystylizowanym zarostem – cieniutkim wąsikiem biegnącym wąskimi strużkami po obu stronach ust aż do skąpej, równie skrupulatnie wypielęgnowanej bródki. Ubrany był w modną, czarną marynarkę z przewiewnego materiału i szarobłękitną koszulkę polo pod spodem. Włosy miał elegancko przedzielone na bok, utrwalone żelem lub pastą, a jego buty stanowiły specyficzne połączenie sportowych adidasów z pantoflami. Pachniał i lśnił jakby szykował się na własną studniówkę, co gryzło się z nieświeżą, tytoniową atmosferą pomieszczenia, w którym się znalazł.

– Dzień dobry, oficer Justin Nelson – zagaił młodziak.

Spojrzenie Larry'ego ani drgnęło.

– Powiedziano mi, żebyśmy się do pana zgłosili. Mamy razem pracować – jego głos był spięty, choć schowany pod powierzchownym luzem. Zdenerwowanie było z tego wymuskanego młodzieńca z każdym oddechem, co dla starego i tak doświadczonego wygi, jakim był Larry Robben było nader wyczuwalne. Palce młodego non stop znajdowały się w ruchu, jakby na nich pragnął skupić całe swe podekscytowanie pierwszym dniem pracy. Dreptanie z nóżki na nóżkę dopełniało obrazu tego znerwicowanego młodzieńca.

## Na Kolanach - Jakub Przymęcki

---

Pierwszy dzień pracy i już oficer, no no – pomyślał funkcjonariusz, po czym wstał z za biurka.

– Detektyw Robben... miło mi – Larry zrezygnowanym tonem wyciągnął rękę w kierunku nowego partnera, ten zaś zdradzając w pełni swoje zestresowanie niemal doskoczył i uścisnął dłonie. – Proszę się zbierać, jedziemy na miejsce zbrodni.

– O tej godzinie? – zapytał zdziwiony Justin. Jego wystraszone spojrzenie padło na twarz Rona, który tylko wzruszył ramionami.

– Przywykniesz. Jeśli szukałeś pracy od ósmej do szesnastej, to nie polecam roboty w policji. Szczególnie w wydziale zabójstw.

Te słowa postawiły młodego oficera do pionu. Chłopak nie zamierzał więcej protestować. Odezwał się jednak Ron.

– Larry, ale tam się jedzie prawie dwie godziny, będzie ciemno gdy zajedziecie.

– No i?

– Policja już sprawdziła teren, nic tam nie ma, gliny się tam ciągle kręcą pilnując terenu, nie musisz się fatygować. Jak coś znajdą od razu dadzą znać.

– Ronnie, skończ. Fajnie, że mundurowi chcieli wyręczyć mnie w mojej sprawie, ale skoro stary mi ją przydzielił... – Larry dostrzegł kątem oka wzdrygnięcie Justina podczas wypowiedzenia słowa „stary” pod adresem szanownego pana kapitana wydziału zabójstw Stevena Jerkinsa – to zamierzam sam się tym zająć. Poza tym ci od raportów to idioci, przejdą się raz po okolicy, wypalą parę cienkich, mentolowych szlugów i uznają, że dobrze przeszukali teren. Jedziemy, młody.

Larry spakował swojego podrabianego rolexa do kieszeni, narzucił sobie na plecy cieniutką kurtkę, z którą jak zauważyli jego koledzy, nie rozstawał się nawet w najgorszy upał („na wszelki wypadek” lub też jego ulubione „lepiej nosić, niż się prosić”), dogasił spalonego niemal do filtra papierosa i wypuścił towarzyszy przodem, zamykając za sobą drzwi. Ron pomknął do własnego gabinetu zegnając się z mężczyznami, a ci wyszli z budynku i wsiedli do służbowej, bładoniebieskiej toyoty.

\*\*\*

– Widzę, że nosiłeś kolczyk – zagaił rozmowę Larry, widząc zarośniętą dziurkę w lewym

uchu swojego młodego kolegi. Ten, zupełnie jak na komendę złapał się za pozostałość po ozdobie i z uśmiechem odparł:

– Tak, kazali mi go ściągnąć w akademii. Wie pan, panują tam nieco rygorystyczne warunki. Wielu z adeptów miało problemy przez...

– Nie mów do mnie per *pan* – przerwał stanowczo rozmówca. – Skoro już pracujemy razem to traktujmy się jak *prawie* równy z równym – na twarzy Larry’ego pojawił się ten na pół cyniczny, pół przyjazny uśmieszek, który tylko on potrafił wykonać, i który charakteryzował jego pokrętną osobowość lepiej niż otaczająca go tytoniowa aura, czy stary, podrabiany zegarek rolexa.

Jechali wciąż zatłoczonymi ulicami miasta kierując się na trasę szybkiego ruchu. Justin trzymał na kolanach wszystkie dotychczasowe papiery związane ze sprawą oraz mapę, której jednak nie musiał czytać, bo Larry doskonale znał drogę.

Popołudniowe słońce zachodziło rzucając coraz ciemniejsze, purpurowe placki światła na szybę samochodu. Ludzie maszerujący chodnikami zdradzali swoje skumulowane w ciągu całego dnia wycieńczenie niedbałym, zmęczonym krokiem, niczym żywe trupy udające, że świetnie się czują. Postacie siedzące za kierownicami pojazdów mijanych przez służbowy samochód detektywów wcale nie wyglądały lepiej. Spocone czoła, przetłuszczone włosy, koszule porozpinane aż po sam pępek i ten specyficzny, obecny tylko w większych miastach zaduch, jakby ludzkie wyczerpanie ulatniało się do atmosfery, dodatkowo zagęszczając aurę.

Justin co prawda został poinstruowany, że praca w wydziale zabójstw wiąże się z późnymi powrotami do domu i wczesnym wstawaniem, a przede wszystkim ciężką pracą, lecz tamtego dnia spodziewał się jedynie rozmowy kwalifikacyjnej, może chwili klepania w klawisze komputera albo szybkiego kursu wypełniania raportów policyjnych. Na pewno jednak nie mógł przypuszczać, że po dziesięciu minutach pobytu w swojej pierwszej pracy w życiu, zostanie wciągnięty do służbowego samochodu i wyruszy badać miejsce, w którym zamordowany został człowiek. Szybko jednak przypomniał sobie, że powinien cokolwiek odpowiedzieć na sugestię swojego starszego partnera.

Bo mógł tak o nim powiedzieć, prawda?

– Rozumiem, w porządku – odparł Justin – długo pan... długo już w tym siedzisz?

– Jedenaście lat. To znaczy jedenaście lat w wydziale zabójstw. Wcześniej byłem zwykłym papierkowym gliną: przynieś, podaj, wytrzymaj parapet, potem spisz raporty. Nie rozpocząłem

kariery jak ty, z wysokiego C. Ale wstąpiłem do policji mniej więcej w twoim wieku, ile masz lat? Dwadzieścia? Dwadzieścia jeden?

– Dwadzieścia sześć.

– To nie jesteś już taki młody, możesz oglądać brzydkie obrazki. Wyjmij więc z koperty zdjęcia denata i powiedz co o nich myślisz – sam Larry tylko rzucił na nie okiem gdy wychodzili z gabinetu, uważając, że fotografie jako takie nie stanowią szczególnej pomocy w śledztwie, tym bardziej, że ciało leży już w prosektorium i zajmuje się nim specjalista. Mimo to chciał czymś zająć młodego żółtodzioba.

– Paskudna rana, strzał oddany z broni śrutowej o kalibrze co najmniej 12mm. Normalne naboje, czy breneka nie dokonałyby takiej defragmentacji czaszki, nawet z najmniejszej odległości.

– Gdy wrócimy z miejsca zdarzenia, odwiozę cię do miasta, a rano... – Larry spojrzał na rosnące (jak mu się wydawało) przerażenie w oczach Justina – no dobra, w południe, skoczmy w parę miejsc. Przede wszystkim odwiedzimy samego zainteresowanego w prosektorium. Co ty na to?

– W porządku.

– Widziałeś kiedyś trupa? – w normalnych okolicznościach to nie byłoby najlepsze pytanie na początek znajomości, Larry pomyślał, że na pewno nie poderwałby na to żadnej panienki, nawet w mundurze i zaśmiał się w głębi duszy.

– Nigdy nie widziałem nikogo zamordowanego... to znaczy... nie na żywo. Jakkolwiek to nie brzmi – przez twarz Justina przebiegł nerwowy uśmiezek, który momentalnie stłumił.

– Zajrzemy też do mojego znajomego specja od balistyki. Na koniec jutrzejszego dnia dostaniesz zaszczytną możliwość wypełnienia wszystkich zbędnych, biurokratycznych papierów, czyli tę część naszej roboty, którą znienawidzisz najbardziej – Larry ponownie wyszczerzył się w swoim rozpoznawalnym stylu wiedząc, że zapal młodego jest na tyle duży, by nie odpaść po paru dniach ciężkiej gliniarskiej roboty. Taką przynajmniej miał nadzieję.

– Istnieje możliwość, że nie trafimy na ślad sprawcy, prawda?

– Nawet nie wiesz jak duża – odparł Larry ze stoickim spokojem. Czas mijał. Na zewnątrz po słońcu pozostała już tylko ciemnoróżowa łuna na niebie, w stronę której zmierzał duet policjantów, a za najdalej kwadrans miało być już zupełnie ciemno. Krajobraz zmienił się, miasto zostało za nimi, zaś jedynym wytworem cywilizacji w zasięgu wzroku była droga



ekspresowa, po której mknęli i dwa duże sztuczne zbiorniki wodne po jej prawej stronie. Zaraz za nimi rozciągały się pasma lasów liściastych i – nieco dalej – mieszanych. Byli coraz bliżej miejsca zbrodni.

– I co wtedy? – Justin drażył temat z oczami wlepionymi w dokumenty i zdjęcia.

– Poczekamy.

– Na co?

– Na następnego trupa.

Gdy dojechali było już zupełnie ciemno.

– Zjazd numer sześćdziesiąt jeden. To tutaj.

Toyota włączyła kierunkowskaz mimo, że na drodze nie było nikogo, kto mógłby go ewentualnie dostrzec i skrzyła w leśną ścieżkę. Podskakując na okolicznych wybojach mężczyźni zaobserwowali, że w oddali paliło się kilka lamp i latarek. Te ostatnie migwały we wszystkich kierunkach jak upite robaczki świętojańskie.

– To nasi – powiedział Larry, a jego kolega tylko skinął głową.

Zegarek wskazywał ósmą piętnaście wieczorem. Teren na którym doszło do morderstwa, a były nim pozostałości po starej nieużywanej murowanej altance, wychodku, i pobliskie krzaki, oznakowany był żółtymi naprężonymi taśmami. Dookoła kręciło się kilku funkcjonariuszy z nocnego dyżuru, pilnującego miejsca zbrodni. Ucieszyło to Larry'ego, bo obawiał się, że panowie mundurowi zrobili co do nich należało i pojechali zostawiając wszystko w stanie niezabezpieczonym. Miał tylko nadzieję, że ci gamonie nie zdeptali wszystkich śladów, choć będąc na miejscu jeden z policjantów imieniem John „Jakiśtam” zapewnił go, że wszelkie operacje związane ze zdejmowaniem odcisków palców zostały wykonane należycie i wszyscy byli bardzo ostrożni.

Teren zdarzenia oświetlono dużymi lampami i wbrew obawom, widoczność nie stanowiła problemu.

– Jak rozumiem przeszukaliście altankę? – Larry nie wierzył sam sobie, że zadał policjantom tak oczywiste pytanie, jednak nie byłby sobą bez odpowiednio protekcyjnego traktowania wszystkich dookoła.

– Tak, panie Robben. Nic nie znaleźliśmy, żadnych odcisków palców, żadnych śladów walki, ani tym bardziej przedmiotów. To dziwne, że zwłoki odkryto dopiero po kilkunastu

dniach, bo ścieżka prowadząca do trasy nie jest dłuższa niż...

– Wiem ile jest stąd do drogi ekspresowej, dziękuję. Rozejrzę się, ok? – przerwał policjantowi Larry i wskazał na swojego młodego kolegę. – To jest Justin Nelson, ma swój tydzień próby... – puścił mu szelmowskie oczko – więc musi iść ze mną.

Justin spoglądając na podejrzliwe twarze gliniarzy przeszedł pod taśmą i jak zniekształcony, wychudzony cień stanął tuż za solidną, barczystą postacią Larry'ego.

– Weź dodatkową latarkę. Panowie, dajcie tu jedną! – krzyknął detektyw. – Idź przeszukać każdy krzaczek dookoła domku, zajrzyj pod każdy kamień. Ja rozejrzę się w środku.

Justin nic nie mówiąc, kliknął tylko włącznik latarki. Snop światła wzbil się w powietrze, a Larry odwrócił się tyłem i poszedł spokojnie do altanki, szukać tego co mogli przeoczyć zwykli gliniarze.

Tak właśnie ich nazywał. Zwykli gliniarze. Przeciętne krawężniki, które mają w dupie swoją robotę, więc po kres swych dni pozostaną przeciętnymi krawężnikami przygotowującymi jedynie scenę do wystąpienia tych prawdziwych gliniarzy, którzy rozwiązują sprawy, szukają poszlak i łapią prawdziwych łotrów. Nie tych pijanych dzieciaków mieszkających na squatach, którzy wybijają nocami szyby do sklepów monopolowych tylko po to, żeby zwinąć stamtąd sześciopak piwa. Prawdziwy glina zarzuca wędkę jedynie na prawdziwego bandziora.

Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i odpiął z niego małą, niepozorną latarkę. Gdy przekroczył próg domu, włączył ją i promień jasnego, ledowego światła przywarł do wszystkich powierzchni w zasięgu.

To, co tam zastał nie wywarło na nim większego wrażenia. Było to niezwykle typowe wewnątrz starej, na wpół przerdzewiałej i przegnitej, opuszczonej rudery. Brud, połamane resztki mebli, wiekowy taboret w malutkiej kuchni, czy raczej jej pozostałości, słowem: nic nadzwyczajnego. Zapach wszechobecnej stęchlizny wdarł się do jego nosa niemal natychmiast i gdy już przyzwyczyił się do niego po kilku sekundach, wyruszył w głąb pomieszczenia.

W jedynym pokoiku stały dwa podarte fotele, przysunięty pod ścianę stolik i kredens pozbawiony szyb. Przez zakurzone okno wychodzące na tył domu ujrzał, że coś przemknęło z jednej strony altanki na drugą i gdyby nie był tak zblazowanym pragmatykiem, jakim go uczyniła robota w wydziale zabójstw, to pewnie nawet wzdrygnąłby się, lecz w moment zrozumiał, że to jedynie młodzik Justin buszuje w krzakach na jego własne polecenie.

Skierował swe kroki do kuchni. W altankach jako takie kuchnie nie występują, więc tutaj

była to jedynie wnęka, w której niczego, poza małą kuchenką i lodówką turystyczną nie dałoby rady upchnąć. Obecnie nie znajdowało się tam już absolutnie nic.

Czuł, że to co zamierza zrobić będzie zupełnie niepotrzebne, lecz dla świętego spokoju postanowił wrócić do pokoju i przeszukał fotele wznecając masę kurzu, odkaslnął, po czym wyszedł z altany, wiedząc, że w środku naprawdę nic nie ma. Skierował swe kroki w stronę dyżurujących policjantów i nim zdążył o cokolwiek zapytać, jeden z nich skwitował:

– Mówiliśmy, że nic pan nie znajdzie, panie detektywie, tylko się pan niepotrzebnie najadł kurzu – Larry zignorował tę najzupełniej zbędną uwagę pana Zwykłego Gliniarza, po czym wyłączył swoje małe ledowe świecidełko i odpalił papierosa. Zwrócił głowę w kierunku tego mundurowego, z którym rozmawiał już wcześniej.

– Niech mi pan powie... co z właścicielem tej nieruchomości? Czyjeś to przecież musi być.

– To nie takie proste – odparł policjant. – Facet, na którego ta altanka wraz z działką zostały przepisane już nie żyje, nie udało nam się też jeszcze dotrzeć do jakiegokolwiek jego rodziny. Nazywał się Ernest Hocker i zmarł niedawno w bardzo sędziwym wieku na jakąś typową geriatryczną chorobę. Z pochodzenia był chyba Niemcem czy coś...

Larry zapisał nazwisko, jednak wątpił w przydatność tej informacji. Nikt normalny nie dokonałby tak okrutnej zbrodni na terenie własnej nieruchomości, szczególnie, że drugi trup został po prostu wrzucony do kanału dwie i pół godziny jazdy na północny wschód stąd. Ta altanka to musiał być przypadkowy wybór. Morderca pewnie chciał, by go długo szukano. Ale dlaczego nie wywiózł go po prostu do lasu lub nie wrzucił do rzeki? Po co ta altanka?...

Z drugiej strony... czy wśród morderców są normalni ludzie? – zapytał sam siebie w myślach. Spojrzał na stojącego obok policjanta i zadał zupełnie inne pytanie.

– A co z tą parką grzybiarzy, którzy odnaleźli ciało? Sprawdziliście ich? – Larry zadając te banalne i oczywiste pytania pomyślał, że jeśli nikogo one nie oburzą to znaczy, że wśród tutejszych glin są sami wegetarianie i odwalający codziennie poranną jogę potomkowie Gandhiego.

– Gert i Andrew Rupert. Małżeństwo sześćdziesięcioparolatków mieszkające w małym gospodarstwie dwie mile na zachód od miejsca zdarzenia. Przesłuchiwałem ich, ale powiedzieli, że nawet nie przyglądali się zwłokom. Gdy się na nie natknęli, natychmiast pobiegli do domu i zadzwonili na policję. Podobno więcej się tutaj nie pokazywali. Pani

Gertrude o mało nie przypląciła tego atakiem serca.

– Nie dziwię się, biegać po lesie w tym wieku...

Dowcip najwyraźniej nie wstrzelił się w wąską szczelinę prowadzącą do ośrodka poczucia humoru Zwykłego Gliniarza, z którym Larry rozmawiał, toteż nikt się nie zaśmiał.

– Pozwolicie, że skorzystam z wychodka? – zapytał Larry i bez oczekiwania na odpowiedź skierował się na tyły domu, skąd właśnie wracał Justin z zawiedzioną miną.

– Nic nie znalazłem, żadnych strzępków ubrań, łusek, czegokolwiek – jęknął najwidoczniej rozczarowany własną nieefektywnością.

– Skoczę tylko do kibelka i wracamy do miasta. A ty nawet nie myśl o wieczornym wypadzie do knajpy, bo jutro najpóźniej o jedenastej do południa, widzę cię w sądowym prosektorium.

– Nie ma sprawy, mogę być nawet wcześniej.

– To nie będzie konieczne, Justin.

Przemierzając półmrok, Larry celował światłem trzymanej w dłoni kieszonkowej latarki po terenie uprzednio przeszukanym przez swojego młodego partnera, lecz i jego wzrok na nic nie natrafił. Wychodek do którego się zbliżał otoczony był gęstymi zaroślami. Detektyw przypomniał sobie jak bardzo nienawidzi takich niekomfortowych sytuacji, jednak wypita w biurze kawa, a następnie woda mineralna spożyta podczas niemal dwugodzinnej jazdy w samochodzie, dały się we znaki. Otworzył na wpół spróchniałe drzwi drewnianej budki z kwadratowym okienkiem na wysokości potylicy (zawsze zastanawiał się jaki jest cel ich montowania – żeby znajomi mogli podziwiać tył głowy sikającego?) i wszedł ostrożnie do zaśmierzdniętego wnętrza. W środku aż roiło się od pajęczyn i wszędobylskiego robactwa. Sznurek, a w zasadzie wyrwany kabel, na którym w zamierzchłych czasach najprawdopodobniej wisiała żarówka, teraz dyndał samotnie. Larry nieomal pociągnął za niego, podświadomie próbując włączyć w ten sposób światło, jednak opanował odruch w ostatniej chwili. Dla kogoś tak pedantycznego jak on (nie licząc rzecz jasna umiłowania do gęstej tytoniowej atmosfery) okoliczności, w jakich przyszło mu się znaleźć były wyjątkowo nieprzyjemne. Rozejrzał się za pomocą ledówki po przybytku nakreślając długie i powolne okręgi światła na każdej ze ścian i skierował promień pod nogi. Deska z niechlujnie wyciętą dziurą zdawała się tylko przeszkadzać. Larry pomyślał, że gdyby ją zdemontowano to estetyka tego odrażającego miejsca na pewno by nie ucierpiała. Rozpiął rozporek, a swoje świcidelko, z którym od lat nie rozstawał się ani na moment, zakleszczył

między zębami w ustach tak, by jego promień padał w dół. Nim jednak zdążył oddać się wątpliwej przyjemności spuszczenia ciśnienia z pęcherza, spostrzegł dwa, co najmniej osobliwe zjawiska w dole, po drugiej stronie dziury.

Natychmiast, nie uroniwszy ani kropli moczu, zapiął zamek w spodniach i gdyby nie odpychający smród, otworzyłby usta ze zdziwienia. Zdumiał się, że dopiero teraz dotarło do niego, iż z wychodka całkiem niedawno ktoś korzystał. Pierwszym dowodem, którego początkowo nie zauważył, był rzecz jasna odór gnijących, a co za tym idzie – świeżych – odchodów, drugim, z kolei znacznie bardziej fizycznym – one same. Kto inny mógł siedzieć na nieużywanym od nie wiadomo kiedy kiblu ulokowanym na terenie opuszczonej działki, jeśli nie ofiara, bądź sam morderca? Nie to było jednak najniezwykłejsze.

Larry przełamał obrzydzenie i nachylił się nad wnęką nieomal wkładając rękę z latarką w sam środek dziury, by możliwie jak najbliżej przyjrzeć się temu, co zwróciło jego uwagę znacznie bardziej, niż kilkudniowy stolec niewiadomego pochodzenia.

Wyjął z kieszeni haftowaną, staromodną chusteczkę i zasłoniwszy wolną dłonią usta oraz nos, wstrzymał oddech. W samym środku zalegającego tam na dole materiału organicznego, błyszczał jakiś przedmiot. Coś – jakaś metalowa, bądź przypominająca metal niewielka rzecz, być może moneta, leżała niemal w całości pokryta kałem i w ordynarny sposób odbijała jedyną obecną tam wiązkę światła, rzucając się w oczy na tyle mocno, jakby chciała krzyknąć, by ją stamtąd wyciągnięto.

Larry uniósł głowę, wypuścił wstrzymywane powietrze z płuc i wyszedł z budki łapiąc potężny haust powietrza. Odwrócił się w stronę kręcących się po okolicy z coraz większym znużeniem policjantów, po czym podniósł głos.

– Chodźcie tu wszyscy! Chyba coś mam!

\*\*\*

Zaletą piastowania w miarę wysokiego stanowiska w szeregach policji było to, że pewnych zajęć można zwyczajnie uniknąć, zwalając je na kogoś innego. Deska wychodka została rozebrana przez Zwykłych Gliniarzy i gdy tylko pojawili się ponownie specjaliści od brudnej roboty, pobrali próbki kału i wyciągnęli dziwny przedmiot. Cała budka, jeszcze przed rozbiórką, została sprawdzona przez techników w celu uzyskania odcisków palców i aż dziw bierze, że nie zrobiono tego wcześniej. Policjanci tłumaczyli, że kibelek znajdował się w zaroślach

z dala od miejsca zbrodni i nie pomyśleli, by zabezpieczyć z niego ślady.

Dokładnie tak jak Larry podejrzewał – w wychodku aż roilo się od odcisków palców, z deski zaś można było najprawdopodobniej przeczytać wiele informacji zapisanych w popularnym wśród kryminologów formacie DNA.

Była już pierwsza czterdzieści w nocy, gdy robota dobiegała końca. Fachowcy od pobierania odcisków i śladów chowali właśnie swoją śmierdzącą zdobycz do szczelnych walizeczek, a Larry, z coraz ordynarniej ziewającym Justinem, siedział przed drzwiami starej altany paląc ostatniego papierosa jaki znajdował się w jego metalowej papierošnicy.

– Będziemy w mieście po trzeciej. W zasadzie przed czwartą, Justin – rozpoczął detektyw.  
– Proponuję, żebyś jutro wziął wolne.

– Dlaczego? Spokojnie, będę tak jak się umówiliśmy, około jedenastej rano w kostnicy. Obejrzymy ciało – chłopak najwyraźniej poczuł się urażony protekcyjnym traktowaniem ze strony starszego partnera.

– Jak uważasz, ale wiedz, że będę musiał skoczyć w kilka miejsc. Nie wiem czy przydasz się tam. No ale jeśli chcesz to nie będę ci zabraniał.

Rozmowę detektywów przerwał jeden ze śledczych. Niewysoki, łysiejący, o lekko przygarbionej postawie wyraźnie uwypuklającej chude ramiona i sterzący brzuch, który swoim wyglądem zdradzał wieloletnie doświadczenie w jedzeniu zimnej pizzy, wypełnianiu papierów i wysuszaniu spojówek przez nieustanne ślęczenie przed komputerem. Podeszedł, ściągnął rękawiczki i podał dłoń Larry'emu, a ten przedstawił mu swojego nowego kolegę z wydziału. Na Justinie zrobiło wrażenie jak silne i męskie są jego dłonie w opozycji do chuderlawych ramion i zupełnie niezgrabnej sylwetki. Zupełnie jakby należały one do całkowicie innego człowieka. Uścisk był mocny, szorstki i chociaż ten łysawy, przygarbiony facet pewnie nawet nie zwrócił na to uwagi, to w dłoni młodziaka aż coś chrupnęło.

– Zabezpieczyliśmy już wszystko. Gówienko trafi jutro do analizy laboratoryjnej, a ta błyskotka zostanie przebadana przez naszych techników. Niewykluczone, że zachowały się na niej odciski palców. No i – kontynuował – mamy tonę odcisków z budki i deski, w tym także twoich, Larry, ale to nie problem. Obawiam się, że wśród nich zachowało się wiele śladów byłego właściciela oraz jego gości. Nie wiem czy zdołamy wyłuskać z tego coś wartościowego dla sprawy.

– Jakim cudem, Henry, twoi ludzie nie sprawdzili tego wcześniej? – rozpoczął swym

niskim głosem Larry splatając ramiona na klatce piersiowej. – Gdyby nie chciało mi się łać, to być może przegapilibyśmy cenny dowód.

– Nie wiem, ale ktoś oberwie za to po łbie. To pewnie te szczeniaki świeżo po akademii, wiesz jacy oni są, z całym szacunkiem dla twojego kolegi – Henry, który zdaniem Larry’ego, nigdy nie umiał trafić odpowiednim dowcipem w odpowiedni moment, uśmiechnął się subtelnie w kierunku Justina, a ten w geście politowania jedynie zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

– Zmywamy się. Dajcie mi znać, kiedy coś odkryjecie. Jestem pod telefonem dwadzieścia cztery na siedem, pamiętasz – Larry podniósł się ze schodka przed wejściem do altany, otrzepał tyłek i ponownie podał rękę Henry’emu. – Chcę wiedzieć co to za metalowy przedmiot i kim była ofiara. Nazwisko i adres mordercy też możecie mi podać, nie będę miał nic przeciwko. Wstawaj Nelson, nie mamy tu już nic do roboty – Justin, po którym widać było zmęczenie, podniósł się z trudem na równe nogi i westchnął ciężko.

– Larry? – oddalającego się detektywa zatrzymał głos Henry’ego, stojącego wciąż obok wejścia do domku. Obrócił się przodem do rozmówcy i bez słowa czekał na ciąg dalszy. – Siedzę w tym już jakiś czas i naprawdę nie wygląda to dobrze.

– To samo mówiłem Ronnie’mu, gdy przekazał mi sprawę, stary.

– Pozdrów go – na te słowa, wiedząc, że kiedyś Ron Simpson i Henry Muller byli bliskimi kumplami, lecz ten pierwszy awansował na inspektora i został przeniesiony do wydziału zabójstw, Larry jedynie skinął głową i odwróciwszy się na pięcie odszedł w kierunku ścieżki.

Detektywi wsiedli do zaparkowanego tam kilka godzin wcześniej samochodu i ruszyli pomału w kierunku drogi ekspresowej.

– Masz szczęście, Justin – rozpoczął rozmowę starszy detektyw. – Pierwszy dzień prawdziwej roboty i już zaliczyłeś imprezę na miejscu morderstwa. Fajnie co?

– Nie wiem... fakt, że ludzie popełniają takie zbrodnie jakoś mnie nie cieszy.

– Daj spokój, młody. To co w takim razie robisz w wydziale? To nasz chleb powszedni, nasze pieprzone bułki z masłem – detektyw mówił powoli i spokojnie, lecz w jego głosie czuć było to typowe dla niego traktowanie innych z góry.

Jechali ekspresówką nieznacznie przekraczając dopuszczalną prędkość (Larry zawsze uważał, że cztery czy pięć mil na godzinę nie robi różnicy, poza tym znał okolicę i wiedział, że w pobliżu nie ma fotoradarów). Ciemnoszare niebo nad nimi spowite było chmurami

broniącymi dostępu do gwiazd, a jedynym, co dało się słyszeć na tym niezurbanizowanym terenie, był szum wyprzedzanych z rzadka samochodów.

– Wiem, powiedziałem tylko... po prostu jeszcze nie podłapałem dystansu, w akademii uczyli, żeby do swojej roboty podchodzić rzetelnie, ale bez zbędnych emocji. To trudne, ale zrobi się, szefie. I jutro to ja chciałbym poprowadzić wóz – Larry na tę ostatnią informację podniósł brwi i zacisnął usta w geście stłumionego zadowolenia, jakby właśnie na to czekał – na odrobinę inicjatywy ze strony żółtodzioba. Ponadto lubił, gdy mówiono mu per „szefie”.

– Pomyślmy – odrzekł i delikatnie dodał gazu.

Godzinę i czterdzieści kilka minut później funkcjonariusze jechali już uśpionymi ulicami miasta. Gdzieś snuły się jeszcze powoli samochody, lecz przed czwartą rano byli to głównie nietutejsi, przejezdni kierowcy, co Larry spostrzegł po którejś z kolei tablicy rejestracyjnej, należącej do innego okręgu. Chodniki świeciły pustkami. Za wyjątkiem okolicznych bezdomnych pijaków, opierających się o ściany, zmęczonych „pracą” prostytutek, czy wracających chwiejnym krokiem do domów imprezowiczów, nie było na kim zawiesić oka.

Nie dalej niż pół godziny temu głowa Justina opadła bezwładnie do tyłu, opierając się o zagłówek siedzenia i chłopak usnął. Larry nie zamierzał go budzić. Włączył cicho swoją ulubioną stację, która nocami, a dokładnie od jedenastej do szóstej rano nadawała audycje jazzowe. Słuchanie ich było czymś w rodzaju ulubionego rytuału, jakie starsi policjanci pokroju Larry’ego praktykowali przy każdej okazji. Zasłuchany w niepowtarzalną perkusję Triloka Gurtu, detektyw dojechał pod adres zamieszkania śpiącego smacznie kolegi i zatrzymał samochód. Pstryknął kilkukrotnie palcami przed twarzą Justina i ten, niczym za pomocą magicznej sztuczki, ocknął się momentalnie.

– Hmm? Gdzie jesteśmy? Sorry szefie, chyba przekimałem chwilę – wybełkotał chłopak i przetarł spuchnięte oczy.

– Nie chwilę, tylko prawie czterdzieści minut. Wstawaj, o ile się nie pomyliłem to tutaj mieszkasz.

Młody policjant rozejrzał się i istotnie, musiał tu mieszkać, bo w jego niedobudzonym i zaskoczonym spojrzeniu nagle wszystko się uspokoilo.

– Tak to tu, nie musiałeś mnie podwozić pod sam dom, nie jestem panienką wracającą z randki – to był chyba pierwszy przejaw ironii i zdystansowania Justina od początku ich niedługiej, ledwie kilkugodzinnej znajomości, co świadczyło, że młody ma szansę się



wyrobić. Tak przynajmniej sądził Larry, który niczego tak nienawidził na świecie jak formalnego, oficjalnego bełkotu, którym go karmiono w każdym urzędzie i w każdym sądzie, w którym zeznawał, a z racji wykonywanego zawodu robił to setki razy.

– Jakoś nie miałem ochoty wyrzucić cię na przystanku autobusowym, żeby cię zadźgali pierwszego dnia pracy. Szef by się wkurzył. Nie dostałbym premii świątecznej. No dobra, oficerze Nelson, wypad z mojego wozu i widzimy się jutro przed południem. Mamy do pogadania z patologiem sądowym.

– Nie jutro, tylko dzisiaj – poprawił go Justin, sięgnął po swoją modną filcową torbę przypominającą futerał na laptopa i wyszedł z wozu żegnając się z partnerem. Larry włączył wsteczny i wyjechał z uliczki prowadzącej do domu chłopaka. Odetchnął z ulgą na myśl, że za kwadrans będzie w domu.

**Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.**

**Wydawnictwo Psychoskok**

